

# Wojdaliński, Ryszard

---

## "Głos Lubelski" podczas okupacji austriackiej (1915-1918) : wspomnienie

---

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 14/1, 93-115

---

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

RYSZARD WOJDALIŃSKI

„GŁOS LUBELSKI” PODCZAS OKUPACJI AUSTRIACKIEJ  
(1915—1918)

## WSPOMNIENIE

W roku 1915 w Lublinie wychodziły dwa dzienniki: starsza „Ziemia Lubelska”, której redaktor, Daniel Śliwicki, po zerwaniu w 1911 r. stosunków z Ligą Narodową starał się, na ile pozwalała cenzura, usposobiać społeczeństwo wrogo do carskiej Rosji, i założony przed dwoma laty „Głos Lubelski”, który — przeciwnie — występował zdecydowanie przeciwko Austrii i Niemcom.

Z chwilą wytworzenia się przy końcu lipca 1915 r. chaosu administracyjnego i ustania z dniem 26 lipca działalności cenzury „Ziemia Lubelska” wystąpiła od razu bez obstrukcji, wyrażając radość z powodu klęsk Rosjan i budząc nadzieje na korzystne zmiany po zajęciu Kongresówki przez wojska Austrii i Niemiec. Natomiast „Głos Lubelski” stał nadal na nie zmienionym stanowisku antyniemieckim.

Świadoma niebezpieczeństwa pozostania na miejscu redakcja „Głosu Lubelskiego” zdecydowała się w nocy z 29 na 30 lipca opuścić miasto i wyjechała ostatnim pociągiem do Rosji. W ten sposób „Głos Lubelski” stał się bezpieczny. Ostatni numer, podpisany jeszcze przez redaktora Wacława Kryńskiego, wyszedł z datą 30 lipca 1915 r. Był to dzień pamiętny dla Lublina. Od rana ustał huk armat. Na ulice wyległy tłumy. Wszyscy oczekiwali czegoś nadzwyczajnego.

Istotnie około godziny 14, po małej utarczce z Czerkiesami, wjechali do Lublina pierwsi ułani Beliny. Potem przez ulice miasta przeciągnęły oddziały legionistów polskich różnych broni. Wrażenie było oszałamiające. Ludność szalała. Sam, gdy zobaczyłem pierwszych ułanów, chociaż przecież tak głęboko byłem przekonany o szkodliwości wiązania Polski ze zwycięstwem państw niemieckich, nie mogłem powstrzymać się od łez.

Żeby móc zrozumieć ówczesny nastrój olbrzymiej większości polskich mieszkańców Lublina, trzeba wziąć pod uwagę dwa czynniki:

zawód, jaki sprawili Rosjanie swym zachowaniem się w pierwszym roku wojny, i nadzieje, jakie wiązała ludność ze zmianą frontu, nie znając rzeczywistego stosunku państw centralnych do sprawy polskiej, a widząc jedynie, że po ich stronie walczą Polskie Legiony.

Obie okoliczności wykorzystywała „Ziemia Lubelska” w sposób mistrzowski i trzeba przyznać, że przyczyniła się walnie do wytworzenia tego szczególnego nastroju, jaki zapanował w Lublinie po zmianie frontu, a przede wszystkim uwielbienia dla legionistów jako załączka armii, która u boku państw centralnych wywalczy niepodległą Polskę na nie określonych na razie bliżej obszarach.

W tym okresie Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne zniechęcone było do tego stopnia, że nawet nie można było marzyć o tym, aby jakiś endek mógł być wybrany do któregośkolwiek zarządu licznych stowarzyszeń i zrzeszeń lubelskich. W ten sposób częste wspólne zebrania delegatów stowarzyszeń i zrzeszeń odbywały się bez udziału narodowych demokratów. Zostali oni jakby usunięci poza nawias społeczeństwa. Aby przyznać się do tego, że się jest narodowym demokratą, trzeba było mieć dużo cywilnej odwagi. Toteż liczba członków SND stale malała, aż doszło do tego, że Stronnictwo rozpadło się, a odbywały się tylko zebrania Ligi Narodowej, której skład osobowy nie był znany ogółowi społeczeństwa. Nie mniej zniechęcony był organ prasowy Stronnictwa „Głos Lubelski”. Zdarzały się przypadki, że niektórzy kupowali od sprzedawców „Głos Lubelski”, darli go manifestacyjnie na kawałki, a następnie wrzucali do rynsztoka.

W tych warunkach Antoni hr. Rostworowski, komisarz Ligi Narodowej, zwołał na drugi dzień po zajęciu Lublina, tj. 31 lipca 1915 r., posiedzenie jej członków. Na zebranie przyszedli wszyscy, gdyż i ziemianie przenieśli się do Lublina jeszcze przed zmianą frontu wojennego. Obrady zagał hr. Rostworowski przedstawiając zebrany bardzo pesymistyczną ocenę ogólnej sytuacji. Jednocześnie dał wyraz obawom o to, jak zachowają się Niemcy i Austriacy wobec zwolenników orientacji prokoalicyjnej. Uważał, że na wszelki wypadek powinniśmy przez pewien czas całkowicie przyczać się, a nawet zawiesić wydawanie „Głosu Lubelskiego”.

W tym samym duchu przemawiali Jan Stecki i Kazimierz Fudakowski, a Stanisław Kowerski przypomniał nawet bombardowanie Kalisza przez Niemców na początku wojny i przewidywał możliwość przesładowań bardziej znanych członków obozu koalicyjnego, który tak zdecydowanie opowiadał się za państwami trójporozumienia, a przeciw państwu trójprzymierza, tj. państwom centralnym.

Nie myślałem wtedy, że redakcja „Głosu Lubelskiego” zostanie mnie powierzona, ale uważałem, iż pismo nie powinno przestawać się uka-

zywać. Z tej racji poprosiłem o głos i powiedziałem mniej więcej, co następuje: „Zachwiała się nasza najprostsza koncepcja zjednoczenia ziem polskich w oparciu o Rosję, w następstwie jej zwycięstwa, ale nie utraciliśmy jeszcze przez to wiary w ostateczne zwycięstwo państw trójporozumienia nad państwami niemieckimi. Nie zmieniliśmy też przekonania, że zwycięstwo Niemiec byłoby zagładą dla Polaków w zaborze pruskim, a co za tym idzie, że każde wspomaganie państw centralnych w osiągnięciu zwycięstwa jest szkodliwe dla sprawy polskiej. Niestety w Lublinie wytworzył się nastrój niezwykle sprzyjający orientacji aktywistycznej. Niewątpliwie idą ciężkie czasy dla naszej koncepcji, ale dlatego właśnie nie wolno nam pozbawiać się dobrowolnie możliwości publicznego wypowiedzania się i kierowania opinii w miarę możliwości na właściwe tory. Jestem najmocniej przekonany, że jeśli »Głos Lubelski« przestanie raz wychodzić, Austriacy, ze względu na naszą orientację polityczną, nie udzielą później zezwolenia na wznowienie wydawnictwa ani pod dotychczasową, ani pod inną nazwą. Natomiast, jeżeli »Głos« nie przestanie wychodzić, jeżeli będzie pismem zastanym przez nich na miejscu, to może nie orientując się w chwilowym osłabieniu naszych wpływów nie zechcą drażnić społeczeństwa i pozwolą wydawnictwu się ukazywać. Dlatego należy za wszelką cenę przynajmniej próbować »Głos Lubelski« utrzymać”.

Następnie przemawiali: dr Adam Majewski, dr Józef Guzowski, inż. Stefan Smoleński i Jan Durys. Wszyscy uznali moje argumenty za istotne i wyrażali pełną solidarność z moim stanowiskiem. Wtedy hr. Rostworowski powiedział: „i ja nie neguję ważności argumentów kolegi Wojdalińskiego, ale czy zechce kto z panów podjąć się w obecnych warunkach prowadzenia pisma?” — Zaległa cisza. Po chwili hr. Rostworowski zwracając się do mnie ciągnął dalej: „pan najgoręcej przemawiał, żeby »Głosu Lubelskiego« nie zamykać, może więc zechciałby pan chociaż przez kilka dni poprowadzić go, a później zdecydujemy w zależności od sytuacji”.

Odpowiedziałem, iż nie wiem, czy potrafię redagować pismo codzienne, w dodatku w tak trudnych warunkach i przy zdekompletowanej redakcji, ale mogę spróbować, tym bardziej że składa się tak dobrze, iż od następnego dnia rozpoczynam miesięczny urlop i będę w stanie poświęcić swój czas bezinteresownie pismu, dopóki nie znajdzie się stały redaktor. Ogólny aplauz zakończył zebranie i wszyscy wyszli zadowoleni, że podejmie się próbę ratowania pisma, i to nie ich kosztem.

Faktyczny i formalny stan „Głosu Lubelskiego” był wtedy następujący: rzeczywistym właścicielem pisma była Liga Narodowa, a formalnie występował jako właściciel brat członka Ligi, Stanisława Moskalewskiego, Feliks Moskalewski, który podpisywał pismo jako redaktor

odpowiedzialny i wydawca. Prócz tego do momentu wkroczenia Austriaków do Lublina pismo podpisywał Wacław Kryński jako redaktor i kierownik literacki. Pismo drukowane było w Drukarni Ziemiańskiej, która stanowiła własność dra Edwarda Kunczyńskiego i zajmowała parter tej samej kamienicy, w której mieściła się redakcja, a ponadto zakupiono ją dla tego celu. Z chwilą powołania dra Kunczyńskiego do wojska rosyjskiego redakcja „Głosu Lubelskiego” objęła wyłączny zarząd drukarnią, co bardzo ułatwiało sytuację wydawnictwa.

Ponieważ początkowo wydawało się, że będę redagował pismo bardzo krótko, nie wyłoniła się nawet kwestia mojego podpisu. Zwróciłem się do Feliksa Moskałewskiego, aby pozwolił w dalszym ciągu umieszczać swe nazwisko jako redaktora odpowiedzialnego i wydawcy, na co zgodził się bez wahania, zaznaczając tylko, że nie chce, aby spadły na niego z tej racji jakiegokolwiek obowiązki lub faktyczna odpowiedzialność. W razie czego mam oświadczyć, iż jestem rzeczywistym redaktorem, a on do niczego się nie wtrąca, a tylko podpisuje numer. Nie wiem, czy miałyby to jakieś znaczenie w razie wpadki, ale tak się ułożyliśmy.

Następnie udałem się do redakcji „Głosu Lubelskiego”, która mieściła się na pierwszym piętrze przy ulicy Gubernatorskiej 10. W redakcji nie zastałem nikogo, więc zszedłem na dół do drukarni, gdzie zebrani byli wszyscy zecerzy z kierownikiem drukarni Romanem Bojankiewiczem na czele. Tutaj zakomunikowałem im, że objąłem redakcję pisma i wróciłem na górę, aby przejrzeć tekę redakcyjną. Niestety, nie znalazłem w niej niczego prócz przetłumaczonego z „Russkiego Słowa” i już złożonego przez drukarnię artykułu M. Biernackiego pt. *Obrót pieniężny*. Niezręcznie było publikować artykuł o obrocie pieniężnym w Rosji akurat wtedy, kiedy wojska rosyjskie zostały przepędzone z Lublina, a podniecona ludność szukała w gazetach wiadomości bieżących. Ale nie było innej rady. Za najważniejsze uważałem, aby pismo ukazało się następnego dnia rano, aby nie powstała większa przerwa w jego ukazywaniu się. Pozostawiony jednak samemu sobie, nie mogłem dokonać cudu. Trzeba było zapełnić przynajmniej dwie strony pisma, zdecydowałem się więc ostatecznie na przedruk z „Russkiego Słowa”. Ale dysponując tylko tym jednym artykułem i kilkoma wiadomościami kronikarskimi nie można było wydawać pisma, więc siadłem zaraz za biurkiem redakcyjnym i zacząłem pisać artykuł pod tytułem *W rok po rozpoczęciu wojny*. Pierwszy raz w życiu pisałem artykuł w takim pośpiechu. Nade mną stał kierownik drukarni i wyrывał mi spod ręki zapisane kartki, które natychmiast zanosił do zecerni.

W artykule tym po przedstawieniu zniszczeń na ziemiach polskich w ciągu ubiegłego roku pisałem w zakończeniu „Pozostała nam jedyna siła, jaką jest wytrwałość. Wierzimy, że siły tej wojna nam nie odbie-

rze i że ją przechowamy jako skarb drogocenny do tych czasów, kiedy ustanie huk armat i wracać będziemy do domów, aby na ziemi mogli i krzyżów budować od fundamentów”. Obawiając się, żeby władze okupacyjne nie zabroniły od razu wydawania pisma i chcąc postawić je wobec faktu dokonanego, nie posłałem pierwszego numeru do cenzury, a uczyniłem to dopiero następnego dnia, kiedy tego ode mnie zażądano.

Sytuacja w pierwszych dniach po wycofaniu się Rosjan była niezwykle trudna. Z całej redakcji pozostał mi tylko jeden młodzieńcy korektor, Kulesza. Poza tym nikt z członków Ligi, z wyjątkiem Jana Durysa, nie przyszedł nawet na chwilę do redakcji, aby przekonać się, jak sobie radzę. Przez cały czas odcięty też byłem od wszelkich informacji i kontaktów z lubelskimi stowarzyszeniami oraz zrzeszeniami. W mieście, w którym wrzało jak w ułu, redakcja nasza przypominała odludną wyspę, na której panowała zaraza.

W dodatku władze austriackie przez pierwsze trzy dni zastanawiały się widocznie, co mają zrobić z naszym pismem i nie dawały nam nawet komunikatów wojennych. Tak byliśmy odcięci od wszelkich informacji, zarówno miejscowych, jak i z frontu wojennego, że chodziliśmy specjalnie na dworzec kolejowy, aby wypraszać tam od żołnierzy jadących na front gazety krakowskie i wiedeńskie. Tym bardziej przygnębiały mnie wydawane po parę razy dziennie nadzwyczajne dodatki „Ziemi Lubelskiej”, zasilanej doraźnie przez Austriaków i legionistów wiadomościami z frontu.

Tak przedstawiała się strona redakcyjna. A jak wyglądała strona materialno-administracyjna wydawnictwa i drukarni?

Na drugi dzień po objęciu redakcji zaprosiłem urzędniczkę prowadzącą administrację oraz kierownika drukarni i odbyłem z nimi konferencję na temat stanu materialnego przedsiębiorstwa. Informacje, jakie otrzymałem, były jak najgorsze. Jeszcze za czasów rosyjskich pismo było deficytowe. Teraz, z powodu ustania komunikacji z prowincją odpadli nam wszyscy prenumeratorzy zamiejscowi, a ilość prenumeratorów miejskich spadła do niespełna 300; ponadto kolporterzy nie chcieli brać pisma do sprzedaży ulicznej w mieście. Pismo nie miało także prawie zupełnie ogłoszeń płatnych. Wreszcie zapas papieru starczał, nawet przy tak małym nakładzie, najwyżej na 3 najbliższe numery, a kasa po wypłaceniu pensji redaktorowi i jego zastępcy przed ich wyjazdem do Rosji świeciła pustkami. Prócz tego drukarnia była winna Jeżyńskiemu w Warszawie 6000 rubli za sprowadzone, a nie zapłacone czcionki.

Trzeba było więc jak najszybciej zdobyć przynajmniej 1000 rubli na zapłacenie dwutygodniowych poborów zecerów oraz korektora pisma, a także nabycie niezbędnego zapasu papieru gazetowego. Po otrzymaniu tych informacji udałem się zaraz do hr. Rostworowskiego i przed-

stawiłem mu stan rzeczy. Zmartwił się bardzo i postanowił zwołać na drugi dzień zebranie Ligi.

Na posiedzeniu tym zreferowałem podany wyżej stan materialny wydawnictwa i drukarni. Rozpoczęła się dyskusja. Nikt z przemawiających ziemian, ludzi przecież niebiednych, nie zadeklarował żadnej kwoty. Mówcy ograniczali się do utyskiwań, że do trudności redakcyjnych przybyły jeszcze i finansowe. Wydawało się, że mają trochę pretensji, iż niepotrzebnie uruchomiono „Głos”. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie, gdy hr. Rostworowski oświadczył, że bierze na siebie całą sprawę i jest przekonany, że za dwa dni wręczy mi niezbędne 1000 rubli. Po zebraniu udałem się do redakcji, zgromadziłem wszystkich pracowników i zapewniłem ich, że za dwa dni otrzymają należne im pobory.

Na najbliższym posiedzeniu Ligi hr. Rostworowski przedstawił przebieg swej akcji zbiórkowej. Z przemówienia jego wynikało, że nikt z ziemian nie chciał dać pieniędzy. Wobec tego udał się do żony bogatego, lecz cieszącego się niezbyt dobrą opinią w mieście właściciela wielkiego hotelu, p. Michelisa, prosząc ją o złożenie ofiary na „Głos Lubelski” w wysokości 1000 rubli. Widać było, z jakim obrzydzeniem mówił hrabia o tej wizycie, tym bardziej że nie otrzymał spodziewanego tysiąca, lecz tylko 250 rubli. Wobec nikłego wyniku zbiórki hr. Rostworowski dołożył od siebie też 250 rubli i wręczając mi razem 500 rubli zaznaczył, że nie jest w stanie zdobyć więcej dodając, że muszę sam sobie jakoś radzić dalej. Był to dla mnie wielki cios, postanowiłem jednak nie zrażać się trudnościami i trwać dalej na posterunku.

Z zebrania wychodziłem przygnębiony i zawiedziony. Stało się dla mnie jasne, że nie mogę liczyć na większą pomoc ze strony Ligi ani pod względem redakcyjnym, ani finansowym. W tych warunkach trzeba było za wszelką cenę zmniejszyć wydatki i powiększyć nakład oraz ilość ogłoszeń płatnych, tak, aby pismo przestało jak najszybciej być deficytowe. W warunkach bojkotu pisma przez znaczną większość ludności miasta było to bardzo trudne zadanie.

W okresie przed wkroczeniem wojsk austriackich w „Głosie Lubelskim” w redakcji i w administracji pracowały po cztery osoby. Liczba członków redakcji zredukowała się sama, kiedy wyjechał redaktor i jego zastępca, a p. Guzowska przestała przychodzić do pracy. Natomiast administracja była niepotrzebnie rozbudowana i od razu wymówiłem pracę dwóm osobom. Dostosowałem również liczbę zecerów do potrzeb pisma wychodzącego w zmniejszonej objętości (dwóch stron w dni powszednie, a tylko w święta — czterech).

Po przeprowadzeniu tych cięć najwięcej zmartwień przysparzał mi brak papieru. Wtedy w Lublinie papierem gazetowym dysponował tylko

skład Rajchmana. Gdybym miał pieniądze, mógłbym zakupić cały zapas i zabezpieczyć pismo na dłuższy czas. Ale w naszym położeniu finansowym byłem w stanie nabywać tylko bieżąco niewielkie ilości papieru niezbędne dla wydawnictwa na najbliższe dni. W dodatku z tego samego źródła czerpała początkowo również „Ziemia Lubelska”, która miała wtedy wielokrotnie wyższy nakład, a więc odpowiednio większe zapotrzebowanie na papier. Na szczęście „Ziemia Lubelska” zaczęła wkrótce korzystać z papieru przydziałowego, dzięki czemu jeszcze do końca 1915 r. mogliśmy zaopatrywać się u Rajchmana.

Jeśli chodzi o sposób redagowania pisma, to przez cały sierpień starałem się unikać polemik i nie atakować nikogo, natomiast nieznacznie usiłowałem wyprowadzić społeczeństwo ze stanu podniecenia i skierować jego uwagę na realnie istniejącą sytuację. Temu celowi służyły takie artykuły, jak *Pilna sprawa*, zamieszczony w numerze z 2 sierpnia, w którym wzywaliśmy uciekinierów z południowych powiatów guberni do jak najszybszego powrotu do swoich domów, a ludność miasta do pomocy przy zbiorach zbóż, bo miastu zagrażał głód; w numerze z 5 sierpnia zamieściliśmy artykuł pt. *Śladem innych*, ostrzegający przed różnymi nierozważnymi czynami, mogącymi tylko wyniszczać źródła energii narodowej. W numerze z 7 sierpnia wydrukowaliśmy artykuł *Na dzień powszedni*, w którym zwalczaliśmy nastroje świąteczne i wzywaliśmy do skupienia się przy pracy, a w numerze z 8 sierpnia artykuł *Dwie polityki*, przeciwstawiający politykę realizmu polityce uczucia.

Tak upłynął sierpień. Pod koniec miesiąca odbyło się zebranie Ligi Narodowej, na którym miano zdecydować o dalszych losach pisma. W zagajeniu hr. Rostworowski podziękował mi za prowadzenie pisma w najcięższym czasie i wyraził uznanie dla mojej odwagi i energii. Następnie rozpoczęła się dyskusja, w czasie której wszyscy przyznawali mi wielkie zasługi, choć niektórzy zarzucali jednocześnie, że byłem zbyt ostrożny i unikałem atakowania przeciwników, przy czym najostrzej występował ci, którzy początkowo wyrażali największe obawy. Pod koniec dyskusji zabrałem głos i oświadczyłem, że unikałem atakowania przeciwników celowo, gdyż nie mogąc przy obowiązującej cenzurze używać wszystkich argumentów, zawsze wychodziłbym z polemiki pokonany. W dodatku liczyłem się z sytuacją i nie chciałem spowodować zamknięcia pisma przez władze okupacyjne lub narazić go na jakies ekscesy ze strony legionistów. Obecnie położenie się poprawiło, ale — moim zdaniem — trzeba być jeszcze bardzo ostrożnym i unikać niepotrzebnego drażnienia, szczególnie piłsudczyków, co do których patriotyzmu nikt nie może mieć wątpliwości. Po moim przemówieniu hr. Rostworowski podziękował mi jeszcze raz i zaproponował na redaktora dra



Józefa Guzowskiego, weterynarza powiatowego z czasów rosyjskich, który na razie nie miał żadnego zajęcia.

Na drugi dzień wróciłem po skończonym urlopie do pracy w Syndykacie Rolniczym, gdzie byłem korespondentem, a dr Guzowski objął redakcję „Głosu Lubelskiego”, angażując od 1 września 1915 r. do pomocy swoją żonę Zofię, zdolną dziennikarkę i dość utalentowaną pisarkę.

Już w numerze z 3 września ukazał się przedruk z „Tygodnika Ilustrowanego” artykuł Grzymały-Siedleckiego pt. *Niepodległość*, atakującego ostro ideologię legionową. Był to jednak tylko przedruk i należało przypuszczać, że miejscowi legioniści przejdą nad nim do porządku dziennego, tym bardziej że wyszedł spod pióra powszechnie szanowanego pisarza.

Dopiero 19 września ukazał się w „Głosie Lubelskim” artykuł podpisany literkami J...i, którego autorem był Jan Stecki. Zupełnie niepotrzebnie i niedyplomatycznie atakowano w nim Piłsudskiego, cytując fragmenty jego odezwy do legionistów o wstrzymaniu werbunku, jakkolwiek z punktu naszej ideologii to posunięcie zasługiwało raczej na pochwałę. Stecki pisał: „Przecież z góry można było z matematyczną niemal ścisłością obliczyć i przewidzieć wszystko, co zaszło: począwszy od ćwiczeń na Błoniach krakowskich, aż do fiaska w Warszawie i dzisiejszych rezygnacji z dalszych sukcesów, jeśli się pamiętało o tym, że »armii zaimprovizować nie można«”. Najbardziej obraziło piłsudczyków następujące zdanie: „Ubrać się w mundur darowany, wyprosić karabin i dwa tuziny ładunków, oprzeć się na cudzej organizacji wojskowej i twierdzić, że się »zaimprovizowało armię«, jest to to samo, co wzięwszy nominację na landrata, utworzywszy kancelarię ze swoich przyjaciół politycznych i rozlepiwszy na ulicach obwieszczenia, oznajmić, że się »zaimprovizowało rząd« i »podłożyło podwaliny pod gmach państwowości polskiej«”.

Przeczytawszy ten artykuł pomyślałem sobie: no, zaczęła się zabawa. Istotnie w kilka dni później, 28 września, gromada legionistów wpadła po południu do redakcji, a nie znalazłszy redaktora, ograniczyła się do drobnych zniszczeń i ekscesów, po czym zbiegła na dół z zamiarem porzucenia czcionek w drukarni, co uniemożliwiłoby wydawanie pisma przez pewien czas. Na szczęście kierownik drukarni zamknął w porę żelazne drzwi i powiadomił o napadzie rezydującego w pobliżu oficera placu. W kilka minut później zjawili się żandarmi, a próbujący wysadzić drzwi legioniści zbiegli.

Jeszcze tego samego dnia zostało zwołane zebranie członków Ligi, na którym dr Guzowski przedstawił przebieg napadu i oświadczył, że

w tych warunkach zrzeka się prowadzenia pisma. Zaproponował jednocześnie powierzenie redakcji mnie.

Propozycja ta spotkała się z ogólną aprobatą. Oświadczyłem, że mogę jeszcze raz ratować „Głos”, pod warunkiem, że w ramach naszej ogólnej linii politycznej otrzymam pełną swobodę w sposobach redagowania pisma, a także, mając na względzie wciąż niepewny los pisma, nie zostanę zwolniony z pracy w Syndykacie Rolniczym, lecz otrzymam stamtąd bezpłatny urlop. Oba warunki przyjęto, a załatwienie uzyskania urlopu wzięło na siebie hr. Rostworowski. W ten sposób po raz drugi objąłem redakcję „Głosu Lubelskiego”.

Przez pewien czas prowadziłem pismo mniej więcej w ten sam sposób, jak poprzednio, tj. unikałem bezpłodnych sporów i namiętnych dyskusji, kierując cały wysiłek na ułatwienie społeczeństwu możliwie jak najpełniejszego zrozumienia sytuacji po obu stronach frontu, na ile to było możliwe w warunkach okupacji, oraz roli, jaką powinno ono odegrać w momencie wielkiego przełomu dziejowego.

Usiłowałem realizować tę politykę w bardzo trudnych warunkach. Przede wszystkim starałem się długo i bezskutecznie o zdobycie przynajmniej jednego ideowego współpracownika, który potrafiłby coś więcej w redakcji robić poza wycinaniem nożyczkami. Udało mi się to osiągnąć dopiero w październiku 1917 r., kiedy to w redakcji pracowali kolejno: Henryk Niedźwiedzki, Stanisław Majewski i Stanisław Sasorski. Natomiast nigdy nie znalazłem reportera z prawdziwego zdarzenia. Ja sam zajmowałem się polityką redakcyjną, sprawami redakcji oraz finansowo-administracyjnymi wydawnictwa. Te ostatnie sprawiały mi najwięcej kłopotów. Mimo radykalnych cięć w wydatkach i niewypłacania sobie pełnej pensji, „Głos” był wciąż deficytowy. W dodatku wyczerpywał się zapas papieru gazetowego u Rajchmana; coraz bardziej gnębiła mnie myśl, że wszystkie wysiłki pójdą na marne, bo i tak staniemy z powodu braku papieru. Naraz zupełnie nieoczekiwanie dowiedziałem się, że można nabyć okazyjnie cały wagon papieru, który przybył na stację kolejową.

Nie namyślając się ani chwili pobiegłem z tą wiadomością do hr. Rostworowskiego, a on zwołał natychmiast posiedzenie Ligi. Na zebraniu zreferowałem sprawę i zakończyłem stwierdzeniem, że teraz nie da się już załatać dziury nowymi 500 rublami, bo albo kupimy od razu wagon papieru, albo pismo musi przestać wychodzić od Nowego Roku. I znów przemawiający potrafili tylko biadać, lecz z gotowością pieniężną nikt się nie ofiarował. Wtedy hrabia zwrócił się do Stanisława Kowerskiego ze słowami: „A gdyby przycisnąć Wydział Gorzelniczy, oni mają, zdaje się, pieniądze?” Nie wiedziałem, jakie Kowerski zajmował tam stanowisko, ale odpowiedział: „można spróbować”. Na tym zebra-

nie skończyło się, a już na drugi dzień otrzymałem 25 000 koron, za które kupiłem papier i spłaciłem część długu za czcionki u Jeżyńskiego w Warszawie. Były to jedyne pieniądze, które „Głos” otrzymał dzięki członkom Ligi, aczkolwiek nie bezpośrednio z ich kieszeni. Bądź co bądź spadł mi z głowy wielki ciężar.

Ale niedługo miałem spokój, bo wkrótce wynikł nowy kłopot. 12 grudnia 1915 r. zastrajkowali zecerzy w całym Lublinie i strajk trwał do końca roku. W tym czasie sytuację uratował kierownik drukarni, który poprzednio był zecerem, i „Głos” wychodził zadrukowany na jednej stronie. Dopiero 1 stycznia 1916 r. ukazał się znowu numer pisma w normalnej objętości z moim artykułem pt. *Rok 1915*. Przedstawiłem w nim olbrzymie straty materialne poniesione przez społeczeństwo w ciągu roku, ale też wykazane przez naród wielkie uzdolnienia organizacyjne, obalające fałsz historyczny, że „Polska musiała zginąć, bo nie posiadaliśmy w swoim charakterze narodowym wrodzonych zdolności do rządzenia się i organizowania życia własnego”.

15 stycznia 1916 r. podpisałem po raz pierwszy „Głos Lubelski” jako redaktor i kierownik literacki; jednocześnie od tego dnia pismo zaczęło wychodzić codziennie w objętości czterech stron, a w niedziele i święta — ośmiu. Artykuły podpisywałem przeważnie różnymi pseudonimami, a tylko wyjątkowo ważne — pełnym nazwiskiem.

Po wyczerpaniu zapasu papieru miałem później znów duże kłopoty, bo Austriacy nie chcieli mi dawać pozwolenia na zakup w fabryce. Raz pojechałem aż do Krakowa i tam za pośrednictwem składu papierniczego Aleksandrowicza nabyłem w Wiedniu wagon papieru, który następnie został nielegalnie przewieziony przez granicę do Lublina. Drugi raz starałem się o pozwolenie zakupu wagonu papieru w fabryce krajowej za pośrednictwem artystki teatralnej Czernekówny, która miała u Austriaków jakieś chody. Tylko w ostatnim roku wojny nie miałem kłopotów przy uzyskiwaniu pozwoleń na kupno i sprowadzenie papieru, co wykorzystałem dla zrobienia stosunkowo sporego zapasu.

Wracając do początku 1916 r. chciałbym jeszcze zaznaczyć, że dopiero rozpoczęcie wydawania pisma w objętości czterech stron stworzyło możliwość podjęcia starań o zdobycie szerszego grona czytelników. Najpierw, gdy przywrócono już komunikację pocztową z prowincją, usiłowaliśmy odzyskać wszystkich dawnych prenumeratorów i zdobyć nowych. Następnie podjąłem próbę wprowadzenia pisma do sprzedaży ulicznej w mieście, ale natrafiłem na trudności. Ponieważ początkowo ani chłopcy gazeciarze, ani sprzedawcy gazet w punktach stałych nie chcieli brać „Głosu”, zorganizowałem we własnym zakresie kolportaż uliczny przez specjalnie zaangażowanych gońców redakcyjnych aż do czasu, kiedy sprzedawcy spostrzegli, że „Głos” ludzie kupują.

Nie mniej upartą walkę przez cały czas mojej redakcji prowadziłem o zdobycie ogłoszeń płatnych, co początkowo, wobec małego nakładu pisma, spotykało się z dużymi trudnościami, ale stopniowo uzyskiwałem coraz lepsze wyniki.

Wszystkie te zabiegi, a także coraz pomyślniejsza ogólna koniunktura polityczna, złożyły się na postępującą poprawę sytuacji wydawnictwa. Kiedy pierwszy raz obejmowałem redakcję „Głosu”, nakład jego wynosił niespełna 300 egzemplarzy, kiedy zaś spuszczałem go w 1919 r. dochodził w zwykłe dni do 6000, a w niedziele i święta do 8000 lub wyjątkowo nawet do 10 000 egzemplarzy, co jak na ówczesne stosunki było nakładem dość wysokim.

Równie pomyślne zmiany zaszły w finansowym stanie pisma. Już pierwsze 6 kopiejek zysku wykazał bilans za styczeń 1916 r. Odtąd zyski stale wzrastały. W rezultacie 31 grudnia 1918 r. pismo nie tylko nie miało żadnych długów, lecz posiadało na rachunku bieżącym w lubelskim oddziale Banku Handlowego w Warszawie saldo w wysokości 105 000 koron. Prócz tego na składzie leżały dwa wagony papieru gazetowego, a zapas farb wystarczał na dwa lata druku. Wreszcie pismo otrzymało w końcu 1918 r. nowe czcionki. Tak przedstawiały się główne pozycje bilansu mojej czteroletniej gospodarki w „Głosie Lubelskim”.

Należałoby jeszcze wyjaśnić, jak zmieniały się ceny „Głosu Lubelskiego”. Otóż w chwili zajęcia Lublina przez wojska państw centralnych cena egzemplarza w sprzedaży ulicznej w Lublinie wynosiła 2 kopiejki, a z odnośnieniem do domu rocznie 3 ruble 60 kopiejek, na prowincji zaś z przesyłką pocztową rocznie 5 rubli 40 kopiejek. Od 14 stycznia 1916 r. cena egzemplarza w sprzedaży ulicznej w Lublinie pozostała bez zmiany, a z odnośnieniem do domu rocznie 4 ruble 50 kop., na prowincji zaś z przesyłką pocztową rocznie 7 rb. Od 1 maja 1916 r. cena egzemplarza w sprzedaży ulicznej w Lublinie wynosiła 6 halerzy, a z odnośnieniem do domu rocznie 10 koron, na prowincji zaś z przesyłką pocztową rocznie 18 koron. Od 1 października 1916 r. cena egzemplarza w sprzedaży ulicznej w Lublinie pozostawała nie zmieniona, i wynosiła z odnośnieniem do domu rocznie 16 koron 60 h., na prowincji zaś z przesyłką pocztową rocznie 24 korony. Od 1 kwietnia 1918 r. cena egzemplarza w sprzedaży ulicznej w Lublinie wynosiła 14 halerzy, a z odnośnieniem do domu rocznie 36 koron, na prowincji zaś z przesyłką pocztową 48 koron. Od 1 lipca 1918 r. cena egzemplarza w sprzedaży ulicznej w Lublinie wzrosła do 20 halerzy, a z odnośnieniem do domu rocznie 54 korony, na prowincji zaś z przesyłką pocztową rocznie 60 koron.

Chciałbym teraz przedstawić stanowisko „Głosu Lubelskiego” w sprawach społecznych, szczególnie samorządowych, oraz politycznych.

Objąwszy redakcję „Głosu Lubelskiego” po raz wtóry, zacząłem stosować wobec państw centralnych taką samą taktykę, jaką uprzednio uprawiał redaktor Słiwicki wobec Rosji, tj. wyszukiwałem wszystko, co mogło przemawiać przeciwko państwom niemieckim i zniechęcać do nich społeczeństwo. Ale „Głos Lubelski” wciąż był bojkotowany, szczególnie przez znaczną część miejscowej inteligencji — do tego stopnia, że zdarzały się przypadki, i to dosyć często, iż niektóre zarządy stowarzyszeń, zrzeszeń i instytucji powiadamiały swoich członków o walnych zebraniach tylko za pośrednictwem „Ziemi Lubelskiej”, ignorując całkowicie istnienie „Głosu Lubelskiego”.

Trzeba było podjąć planową akcję celem wyjścia z izolacji politycznej i społecznej. W tym celu utworzyliśmy w końcu października 1915 r. pierwszą komórkę organizacyjną Zjednoczenia Narodowego, w skład której weszli: Jan Durys (zarzewiak), dr Adam Majewski, inż. Stefan Smoleński i ja. Jako jedno z pierwszych zadań wysunęliśmy włączenie się w nurt życia społecznego, a ponieważ nie mogliśmy się dostać do zarządu żadnego z istniejących stowarzyszeń lubelskich, postanowiliśmy utworzyć nowe Stowarzyszenie Pracowników Handlowych z Wyższym Wykształceniem. Prezesem zarządu Stowarzyszenia został Chwalisław Kopeć, dyrektor Centrali Handlowej, znany ze swoich poglądów postępowych i dawnej niechęci do Demokracji Narodowej. W tym czasie przeszedł on już jednak znaczną ewolucję, szczególnie pod względem politycznym, tak że wkrótce mogliśmy wciągnąć go do Zjednoczenia Narodowego, gdzie oddał nam nieocenione usługi przy firmowaniu różnych akcji publicznych, jako że nikt nie mógł go posądzać o to, że jest zamaskowanym endekiem. Toteż niebawem wybraliśmy go na prezesa Zjednoczenia Narodowego. Na terenie Stowarzyszenia Pracowników Handlowych poznaliśmy również i nawiązali stosunki ze Stanisławem Samsonowiczem, którego też wprowadziliśmy do zarządu Zjednoczenia. Wreszcie przyjęliśmy w tym czasie do zarządu Zjednoczenia Franciszka Sielskiego, działacza o dużym mirze wśród robotników.

Utworzenie nowego stowarzyszenia, w którego zarządzie mieliśmy głos decydujący, miało dla nas ten jeszcze dodatni skutek, że pozwalało delegować Durysa na wszystkie wspólne zebrania stowarzyszeń, zrzeszeń itp. A że jednocześnie i ja przychodziłem na te zebrania jako przedstawiciel pisma, uczestnicząc w obradach i wspierając się wzajemnie mogliśmy wpływać na treść podejmowanych decyzji. Ujawniło się to szczególnie wyraźnie w okresie przedwyborczym do pierwszej rady miejskiej.

Jeszcze przed ogłoszeniem przez władze austriackie ustawy wyborczej zaczęliśmy się zastanawiać nad naszą sytuacją w spodziewanych wyborach. Niestety musieliśmy stwierdzić, iż nie stać nas jeszcze na

samodzielne wystąpienie bez ryzyka kompromitacji. Najbardziej martwiła nas sytuacja, w jakiej się znajdzie „Głos”, gdy nie będzie mógł popierać żadnego komitetu wyborczego i w tym tak ważnym dla miasta okresie pozostanie na uboczu.

Nie mogąc jeszcze stworzyć własnego komitetu wyborczego postanowiliśmy przynajmniej starać się o utworzenie takiego komitetu, który „Głos Lubelski” mógłby popierać. W tym celu udałem się do prezesa Miejskiego Komitetu Obywatelskiego, aktywisty, adwokata Bolesława Sekutowicza, i przedstawiłem mu konieczność uświadomienia ludności o istocie samorządu, dodając że najbardziej powołany do podjęcia takiej akcji jest Miejski Komitet Obywatelski. Prezes Sekutowicz zgodził się, ale tylko na akcję uświadamiającą, uważając zupełnie słusznie, że same wybory są sprawą stronnictw politycznych.

W następstwie tej rozmowy MKO rozpoczął zwoływać zebrania delegatów stowarzyszeń, zrzeszeń i instytucji dla przedstawienia zadań i istoty samorządu miejskiego. W zebraniach tych braliśmy obaj z Duryssem bardzo czynny udział, a ja byłem powoływany stale na sekretarza prezydium. Popierając się wzajemnie, zupełnie niepostrzeżenie dla zebranych skierowaliśmy ich na drogę wiodącą prosto do utworzenia bezpartyjnego komitetu wyborczego.

W tym czasie został ogłoszony akt z 5 listopada 1916 r. o utworzeniu Królestwa Polskiego. Powszechnie uważano to za sukces aktywistów i z ufnością oczekiwano na dalsze posunięcia władz okupacyjnych. Natomiast „Głos Lubelski”, nie zaprzeczając znaczenia samego aktu poruszającego sprawę niepodległości, uważał go jedynie za etap przejściowy w walce o wolną Polskę i twierdził, że sprawa polska może być rozwiązana tylko na płaszczyźnie międzynarodowej, a nie wewnętrznej któregośkolwiek z państw wojujących. Stanowisko takie było dla aktywistów herezją i wzmogło ataki na „Głos”.

Na szczęście pozycja moja i Durysa na zebraniach stowarzyszeń była już na tyle mocna, a akcja powołania bezpartyjnego komitetu wyborczego tak zaawansowana, że na zebraniu przedstawiciele 33 instytucji kulturalnych, obywatelskich i zawodowych oraz 13 cechów wybrano 11 listopada 1916 r. Centralny Komitet Wyborczy złożony z 30 osób, w tym Durysa, Franciszka Sielskiego i mnie. W krótkim czasie stałem się jednym z najczynniejszych członków Centralnego Komitetu Wyborczego, a „Głos Lubelski” miał wiadomości z pierwszej ręki i mógł się silnie zaangażować w akcję wyborczą. Co więcej, udało mi się na wiecu zwołanym 29 listopada przez konkurencyjny Komitet Demokratyczny przeprowadzić uchwałę o wystawieniu wspólnych list z Centralnym Komitetem Wyborczym. W rezultacie wybrano do Rady Miejskiej: 43 Polaków, w tym 8 socjalistów i 17 Żydów. Ze Zjednoczenia Naro-

dowego przeszedł na radnego tylko Chwalisław Kopeć, a na zastępców Stanisław Samsonowicz i Franciszék Sielski. Ja z Durysem nie mogliśmy kandydować, bo brakowało nam po 5 lat do posiadania prawa biernego.

W wyborach tych chodziło nam nie tyle o ilość naszych radnych, ile o wydostanie się z izolacji, nawiązanie szerszych stosunków i stworzenie dla „Głosu Lubelskiego” możliwości popierania jakiegoś komitetu wyborczego. To zadanie zostało w pełni zrealizowane. Zupełnie niepostrzeżenie „Głos” narzucił się Centralnemu Komitetowi Wyborczemu jako pewnego rodzaju trybuna. Stało się to tym bardziej możliwe, że z niewiadomych powodów „Ziemia Lubelska” od pewnego momentu zaczęła zachowywać się pasywnie, a niedawno powstały „Dziennik Lubelski” popierał początkowo Demokratyczny Komitet Wyborczy i Socjalistyczny Komitet Wyborczy, a w końcu tylko Socjalistyczny Komitet Wyborczy. Możliwość dysponowania najświeższymi wiadomościami sprawiła, że wiele wpływowych osób, które dotąd nie brały do ręki „Głosu”, zaczęły szukać w nim informacji o wyborach i liczyć się z jego stanowiskiem. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że „Głos”, a z nim cały obóz prokoalicyjny, wyszedł z izolacji dopiero podczas wyborów do pierwszej Rady Miejskiej.

Trzeba też zaznaczyć, że pewna część spośród wybranych radnych nawiązawszy z nami stosunki pozostała już na stałe w sferze naszych wpływów i nawet kandydowała z naszej listy przy następnych wyborach do Rady Miejskiej, które się odbyły w dniach od 29 września do 9 października 1918 r. Tym razem nie potrzebowaliśmy już kryć się za niczymi plecami jak w czasie pierwszych wyborów i od razu wybraliśmy własny komitet pod nazwą Społecznego Komitetu Wyborczego. Do Rady wybrano 30 radnych z listy Społecznego Komitetu Wyborczego, 8 radnych z listy socjalistów polskich, 3 radnych z listy Demokratycznego Komitetu Wyborczego i 19 radnych żydowskich. Stanowiło to wielki sukces Społecznego Komitetu Wyborczego i świadczyło o dużym wzroście naszych wpływów w mieście. Trzeba pamiętać jednak, że były to wybory kurialne. Niemniej jednak można już było na podstawie głosów oddanych w poszczególnych kuriach na wystawione listy określić dosyć dokładnie przyszły układ sił w społeczeństwie polskim przy wyborach powszechnych. Widać było zupełnie jasno, że minęły bezpowrotnie czasy, kiedy różne grupy aktywistyczne mogły odgrywać mniej lub więcej poważną rolę. Odtąd na placu pozostały tylko dwa wielkie obozy polityczne: socjalistyczny i narodowy; siłą kierowniczą tego ostatniego na terenie Lublina były Zjednoczenie Narodowe i „Głos Lubelski”.

Ale wróćmy jeszcze do innych skutków prowadzonej przez nas po-

lityki w okresie przedwyborczym do pierwszej Rady Miejskiej. Staliśmy się już na tyle popularni, że wybierano nas do zarządów stowarzyszeń itd. I tak np. ja zostałem wybrany 21 października 1916 r. do zarządu Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, w którym piastowałem najpierw stanowisko sekretarza, a następnie od 17 marca 1917 r. pierwszego wiceprezesa i wreszcie od 28 marca 1918 r. prezesa. W tym ostatnim roku dr Adam Majewski został wybrany na prezesa zarządu Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości Chrześcijan.

W całym okresie po wyborach do pierwszej Rady Miejskiej „Głos Lubelski” przeprowadzał szereg akcji.

Zaraz po zajęciu Lublina Austriacy wydali rozporządzenie zamrażające czynsze komorniane. Początkowo rozporządzenie to nie było dla właścicieli nieruchomości dotkliwe, później jednak, gdy siła nabywca korony zaczęła spadać, położenie ich stało się bardzo ciężkie. Wskutek tego już w końcu 1916 r. wytworzyła się sytuacja, że wielu właścicieli chciało pozbyć się swoich nieruchomości. Jedni dlatego, aby uzyskać chociaż trochę grosiwa niezbędnego dla przetrwania wojny, drudzy nawet bez finansowej konieczności, lecz jedynie dlatego, aby pozbyć się kłopotów z własnością, która nie przynosiła żadnych dochodów, a tylko wymagała wydatków na remonty. Możliwość sprzedaży stała się tym większa, że jednocześnie znaleźli się liczni nabywcy. Byli nimi wyłącznie wzbogaceni żydowscy kupcy i dostawcy wojskowi, gotowi płacić nawet bardzo wysokie ceny, idące nieraz w miliony.

Początek dał kupiec polski W. Ignaszewski, który sprzedał Żydowi L. Libidzkemu kamienicę w centrum miasta. Przykład ten mógł być zaraźliwy dla innych polskich właścicieli nieruchomości. Dlatego sprawę potraktowałem poważnie i sprzedawcę napiętnowałem publicznie w „Głosie Lubelskim” z dnia 30 października 1916 r. Jednocześnie nawiązałem stosunki z pracownikami kancelarii rejentów. Pozwalało mi to ostrzegać publicznie każdego właściciela nieruchomości jeszcze przed zawarciem ostatecznego aktu kupna-sprzedaży.

Ciekawe, iż chociaż każdy wiedział, że może znaleźć się na „czarnej” liście, jednakże niektórzy cofali się przed zawarciem ostatecznego aktu sprzedaży dopiero wtedy, gdy przeczytali swoje nazwisko w ostrzeżeniu. W czasie tej akcji miałem sporo przykrości, gdyż właściciel realności wymieniony w gazecie wpadał zazwyczaj wzburzony do redakcji i dopiero po przekonaniu się osobiście, że nie ma innego sposobu uniknięcia znalezienia się na liście, jak tylko zerwanie wstępnej umowy, decydował się, jeśli go było na to stać, na zwrot nabywcy podwójnego zadatku.

W sprawie tych sprzedaży „Głos Lubelski” wydrukował dwa artykuły. Mimo tego liczba pozbywających się nieruchomości stale rosła.



Pierwszą listę 15 Polaków, którzy sprzedali swoje nieruchomości miejskie w ciągu roku 1916 i trzech pierwszych miesięcy 1917 r., umieściłem w „Głosie” z 6 kwietnia 1917 r. Listę tę wielokrotnie przedrukowywałem, aby powstrzymać chętnych od dalszych sprzedaży. Następną listę ogłosiłem 19 czerwca 1918 r., wymieniając 28 Polaków, którzy w okresie od 1 lipca 1917 r. do 1 czerwca 1918 r. sprzedali swoje nieruchomości. Trzeba liczyć się z tym, że oprócz podanych w pierwszej liście 15 i drugiej 28, tj. razem 43, przeszło jeszcze w ręce żydowskie kilkanaście kamienic, gdyż nie mam pod ręką danych za okres od 1 kwietnia do 30 czerwca 1917 r. i od 1 lipca 1918 r. do końca wojny.

Druga ważna sprawa, którą zajął się „Głos”, była kwestia rozdzielonych rodzin. We wrześniu 1916 r. otrzymałem wiadomość ze Sztokholmu, że „Głos Lubelski” dochodzi do tamtejszego Komitetu Polskiego i że można by dzięki temu próbować nawiązania łączności pomiędzy rodzinami wywiezionych do Rosji a pozostałych w kraju. Po wymianie korespondencji ustaliliśmy następujący sposób postępowania. Aby ogłoszenia umieszczone w „Głosie Lubelskim” dotarły do wywiezionych do Rosji rodzin, Komitet Polski w Sztokholmie będzie te ogłoszenia wycinał, a następnie wysyłał je listami poleconymi do pism polskich w Rosji, te z kolei będą przedrukowywać je u siebie i — odwrotnie ogłoszenia z pism polskich w Rosji Komitet będzie przysyłał do Lublina, a tutaj będzie przedrukowywał je „Głos Lubelski”.

Wobec wielkiej liczby rozdzielonych rodzin znalezienie tej drogi porozumiewania się poprzez fronty posiadało duże znaczenie. Pierwszą wiadomość, że za pośrednictwem ogłoszeń umieszczanych w „Głosie Lubelskim” można porozumiewać się z rodzinami wywiezionymi do Rosji, podałem w piśmie z 12 października 1916 r. Wiadomość ta została przyjęta przez rozdzielone rodziny z prawdziwą radością, o czym świadczyły liczne dziękczynne listy przysyłane do redakcji.

W ogłoszeniach podawano sobie różne wiadomości natury osobistej, jak miejsce pobytu, odnalezienie się w Rosji poszczególnych członków wywiezionej rodziny, stan zdrowia, zawarcie ślubu, urodziny, zgony itp. Akcję tę prowadziłem do końca wojny, zresztą również z korzyścią dla pisma. Wiele osób, szczególnie spośród włościan, którzy w innych warunkach może nie czytali pisma, gdy umieścili w nim ogłoszenie i oczekiwali na ukazanie się odpowiedzi, prenumerowali je stale, przynajmniej przez okres wyczekiwania.

Cenzorem od wejścia Austriaków do Lublina aż do końca 1916 r. był dr W. Lewicki ze Lwowa, pijaczyna i łapownik, który jednocześnie kierował referatem przydziału artykułów kontyngentowych. W poczekalni jego gabinetu tłoczyła się zawsze gromada kupców żydowskich. Krzywdzeni kupcy zwracali się do „Głosu” z prośbą o interwencję, ale

wszystkie wzmianki zamieszczane na ten temat w piśmie skreślał cenzor. Do cenzury posyłało się odbitki pisma w trzech egzemplarzach, z których po dokonaniu cenzury dr Lewicki 2 egzemplarze zatrzymywał u siebie, a trzeci zwracał redakcji. Zdarzyło się raz, że Lewicki był tak pijany, iż na dwóch egzemplarzach przekreślił artykuł o skargach polskich kupców, a na trzecim zapomniał tego uczynić i ten właśnie egzemplarz zwrócił redakcji. Domyśliłem się, że musiał być wtedy nietrzeźwy, ale artykuł umieściłem w nadziei, że może wywrze dodatni skutek. Na drugi dzień zatelefonowała jego sekretarka, abym przyszedł natychmiast. Gdy wszedłem do gabinetu dra Lewickiego, ten zerwał się z fotela i wymachując odbitką „Głosu” zaczął krzyczeć: „jak pan śmiał wydrukować artykuł, który skreśliłem?” Wtedy najspokojniej wyjąłem z kieszeni zwrócony redakcji egzemplarz z jego podpisem i podając mu powiedziałem: „Nie rozumiem, czego pan doktor chce, gdyż na moim egzemplarzu nie ma żadnych skreśleń”. Wtedy chwycił gorączkowo mój arkusz i przebiegłszy go wzrokiem zwrócił mi ze słowami: „Wykorzystał pan sytuację”. Jako cenzor starał się wnikać w ukryte myśli autora i często korzystał z ołówka, a ja pozostawiałem w dzienniku białe plamy, co go bardzo irytowało.

Po doktorze Lewickim pismo w pierwszych miesiącach 1917 r. cenzurowane było przez nadkomisarza policji dra Stycznia. Był on typowym policjantem, ale pisma nie szykanował i nie używał ołówka częściej niż dr Lewicki.

W tym czasie „Głos Lubelski” domagał się już zjednoczenia i niepodległości ziem polskich, czemu wyraz dawały takie artykuły, jak np. *Ewolucja sprawy polskiej*, wydrukowany w „Głosie” z 22 kwietnia 1917 r.

Zarządzeniem z 26 kwietnia generalnym gubernatorem lubelskim mianowany został gen. Stanisław hr. Szeptycki, a cenzura przeszła w ręce dra Alfreda Wysockiego, późniejszego ambasadora Polski w Sztokholmie i w Berlinie. Był to człowiek o dużej kulturze osobistej i szerokich horyzontach myślowych, ale jako urzędnik austriacki musiał korzystać z ołówka cenzorskiego, tym bardziej że po orędziu prezydenta Wilsona do Senatu z 22 stycznia 1917 r., uchwale krakowskiej Koła Polskiego z 28 maja 1917 r. i ogłoszeniu Deklaracji Praw Narodów Rosji, „Głos Lubelski” stale i bez żadnego skrępowania domagał się niepodległości zjednoczonych ziem polskich i dostępu do morza, dodając często od siebie „z własnym portem w Gdańsku”. Doktor Wysocki na ogół puszczął żądania polityczne, ale skrupulatnie skreślał wszelką krytykę państw centralnych i wzmianki o wyczerpywaniu się ich sił oraz przewidywania końca wojny niekorzystne dla państw trójprzymierza, wreszcie protesty przeciwko wiązaniu sprawy polskiej z tymi państwami.

Oto przykład takiego sprawowania cenzury. Po żądaniu przez Tymczasową Radę Stanu w dniu 7 kwietnia 1917 r. nominacji regenta w osobie arcyksięcia Stefana (Habsburga) z Żywca aktywiści rozpetali wielką akcję, szczególnie w strefie okupacji austriackiej. Aby wywołać wrażenie powszechnego żądania postanowiono przeprowadzić odpowiednie uchwały na zjazdach włościan we wszystkich powiatach pod okupacją austriacką. Przykład miał dać powiat krasnostawski, którego Rada Powiatowa na wniosek Komisariatu Zaciągu do Wojska Polskiego zarządziła zwołanie do Krasnegostawu na dzień 29 maja 1917 r. zjazdu delegatów wybranych przez wszystkie wsie i gminy powiatu. Na zjazd ten pojechałem z drem Adamem Majewskim i przy pomocy miejscowej POW przeprowadziliśmy ogromną większością głosów, wbrew stanowisku organizatorów, następującą rezolucję, którą umieściłem w „Głosie” z 31 maja 1917 r.:

„1) Jedynym zadowalającym rozwiązaniem sprawy polskiej jest zjednoczenie wszystkich ziem polskich i utworzenie z nich niepodległego państwa z dostępem do morza — państwa takiej wielkości i siły, które by dawało rękojmię niezależności politycznej i samodzielnego rozwoju gospodarczego;

2) Wiązanie sprawy polskiej w jakikolwiek sposób z państwami centralnymi przeszkadza tylko normalnemu jej rozwiązaniu;

3) Państwo Polskie powinien budować sam naród polski i on tylko może wyłonić z siebie naczelną władzę polską — rząd polski, powołany przez sejm polski, wybrany na demokratycznych podstawach;

4) Sprawę zwierzchniej władzy Państwa Polskiego może rozstrzygnąć wyłącznie sejm polski”.

Dr Wysocki skreślił tylko drugi punkt, a ja zostawiłem dwójkę z białą plamą.

Jeszcze bardziej liberalną cenzurę stosował dr Wysocki przy końcu 1917 r. i w całym roku 1918, czego dowodem może być następująca uchwała przyjęta 25 stycznia 1918 r. przez walne zebranie Klubu Społecznego utworzonego przez „Głos Lubelski” i Zjednoczenie Narodowe, umieszczona w „Głosie Lubelskim” z 27 stycznia 1918:

„1) Uznając za niezłomne dążenie narodu polskiego do zjednoczenia ziem polskich w niepodległym Państwie Polskim, z własnym dostępem do morza, Klub Społeczny protestuje:

a) przeciw wszelkim jawnym lub zamaskowanym zakusom aneksyjnym;

b) przeciw jednostronnemu załatwianiu sprawy polskiej przez państwa, które w swoim czasie dokonały rozbiorów Polski i

c) przeciw decydowaniu o nas bez przedstawicieli naszych reprezentujących cały naród bez względu na kordony.

2) W sprawie ustroju państwa i formy rządu Klub Społeczny w Lu-

blinie wyraża opinię, że decydować o tym może tylko Sejm Konstytucyjny, oparty na szerokiej podstawie demokratycznej i wolny od nacisku ze strony władz oraz wojsk obcych”.

Uchwałę tę puścił dr Wysocki bez żadnych skreśleń. Niewątpliwie dr Wysocki miał dużo przykrości z powodu „Głosu Lubelskiego”. Wzywał mnie często do siebie i żądał zmiany sposobu redagowania pisma, tym bardziej że jego zdaniem, moja ocena sytuacji jest błędna, bo państwa centralne wojnę wygrają. Wtedy starałem się uzasadnić swój punkt widzenia i rozmowa kończyła się niczym. Raz pokazał mi nawet mój artykuł przetłumaczony na język niemiecki i przysłany przez generalgubernatorstwo w Warszawie z protestem przeciwko puszczeniu tego rodzaju wypowiedzi.

Po zawarciu przez państwa centralne pokoju z Ukrainą i Rosją radziecką Niemcy przerzucili wojska frontu wschodniego na zachodni i rozpoczęli 21 marca 1918 r. wielką ofensywę przeciwko Francji. Aktywiści byli przekonani, że tym razem Niemcy zwyciężą już ostatecznie. 25 marca 1918 r. wezwał mnie dr Wysocki do swojego mieszkania prywatnego i przedstawił jakiemuś Polakowi w mundurze wojskowym (nazwiska nie dosłyszałem), który przybył rzekomo z Wiednia, aby mnie przekonać o niewątpliwym zwycięstwie państw centralnych, a co za tym idzie, konieczności poparcia przez całe społeczeństwo polskie austriackiego rozwiązania sprawy polskiej w celu wzmocnienia stanowiska Austrii w pertraktacjach z Niemcami. Dyskusja między nami trzema trwała około dwóch godzin i nie doprowadziła do żadnego zbliżenia stanowisk. Przeciwnie, zaraz po powrocie do redakcji napisałem artykuł *Decydująca chwila*, który „Głos” wydrukował w numerze z 26 marca. W artykule tym dałem niedwuznaczny wyraz przekonaniu, że jest to ostatni wysiłek państw centralnych, po którym winno nastąpić załamanie. Ponieważ zależało mi specjalnie na tym, aby pogląd ten dotarł do społeczeństwa, artykuł napisałem tak ostrożnie, aby dr Wysocki mógł go puścić w całości.

Od drugiej połowy 1917 r. opinia publiczna Lublina zaczęła wyraźnie przechylać się na naszą stronę. Nakład „Głosu Lubelskiego” stale wzrastał, coraz więcej ludzi z różnych warstw społecznych odwiedzało redakcję i nawiązywało mniej lub więcej bliskie stosunki. A już w 1918 r. „Głos Lubelski” władał prawie niepodzielnie opinią lubelską, przynajmniej tą częścią, która stała na gruncie narodowym. Szczególnie wyraźnie zaznaczył się wpływ „Głosu” i członków jego redakcji w czasie dwóch wielkich manifestacji ludności Lublina.

Zawarcie 9 lutego przez państwa centralne pokoju z Ukrainą cała Polska przyjęła z burzeniem, ale szczególnego wstrząsu doznała Lubelszczyzna, której znaczną część wschodnią Austria przyrzekała odstąpić

Ukrainie. Dnia 11 lutego została wydana nie oceniona odezwa, w której piętnowano państwa centralne i wzywano mieszkańców Lublina do jednodniowego strajku dnia 12 lutego. Odezwę podpisały: Klub Polski, Klub Społeczny, Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe i Zjednoczenie Narodowe. Ponadto „Głos Lubelski” wydrukował bardzo ostry artykuł, za który numer pisma został skonfiskowany. Zgodnie z odezwą stanęły kolejno fabryki, przestały kursować dorożki, pozamykano szkoły, sklepy i urzędy. O godzinie 10.30 zebrało się przed katedrą ponad 10 000 manifestantów, którzy przeszli ulicami miasta i po uchwaleniu protestu rozeszli się. Wieczorem urządzono manifestację socjalistyczną, podczas której spalono portrety obu cesarzy na Krakowskim Przedmieściu naprzeciwko hotelu Europejskiego.

Druga wielka manifestacja odbyła się w październiku 1918 r., kiedy państwa centralne właściwie się już załamały, ale okupacja jeszcze trwała; zarówno obóz socjalistyczny, jak i narodowy pragnęły jak najszybciej przyspieszyć jej usunięcie. W tym stanie rzeczy socjaliści wyznaczyli manifestację na 16 października, a „Głos Lubelski” i Zjednoczenie Narodowe na 15 października.

Program 15 października przewidywał strajk powszechny w mieście, nabożeństwa z patriotycznymi kazaniem w kościołach: Podominikańskim, Powizytrowskim i Katedrze, po czym zebranie się przed Katedrą i ruszenie pochodem przez całe miasto aż pod Ogród Saski. Tutaj przemówił najpierw porucznik Jan Marcińczyk (dowborczyk), a następnie zastępca redaktora „Głosu” i członek Zjednoczenia Narodowego, Stanisław Majewski, który w zakończeniu odczytał rezolucję z żądaniami:

„1) Natychmiastowego zaniechania rekwizycji i wywozu z kraju wszelkiego rodzaju mienia;

2) Wypuszczenia więźniów politycznych z więzień;

3) Zniesienia okupacji i zaborów oraz całkowitego usunięcia się ze wszystkich ziem polskich obcych organów państwowych i obcych wojsk, celem umożliwienia powstania niezależnego rządu polskiego”.

Wreszcie Majewski zaproponował wybranie delegacji, która by przedstawiła te żądania generalnemu gubernatorowi. Do delegacji zostali wybrani: Stefan Plewiński (ziemianin), Szczepan Wróbel (włościanin), ja oraz jeszcze dwaj przedstawiciele miasta, których nazwisk nie zapamiętałem (w roczniku „Głosu Lubelskiego” przechowywanym przez Wojewódzką Bibliotekę im. Łopacińskiego odnośnego numeru brak), zaś „Ziemia Lubelska” ze zrozumiałych względów składu delegacji nie podała. Tak wybrana delegacja skierowała się na plac Litewski do generalnej guberni, a razem z nią kilkunastotysięczny tłum zebranych na wiecu.

Gdy zbliżaliśmy się do placu Litewskiego, przed gmachem guberni stał już kordon wojska z bagnietami, a we wszystkich wejściach umieszczono karabiny maszynowe. Tłum podszedł do wojska na odległość trzech kroków, a wezwany przez oficerów do wstrzymania się, stanął. Po pewnych pertraktacjach wpuszczono delegację na pierwsze piętro, a następnie do gabinetu gen. Liposzczaka, któremu delegacja przedstawiła przyjętą uchwałę. Po naradzeniu się ze swoimi najbliższymi pracownikami generał oświadczył, że uwzględniając wytworzoną sytuację bierze na swoją odpowiedzialność zwolnienia 42 więźniów politycznych.

Otrzymawszy tę wiadomość zeszliliśmy zadowoleni na dół, a ja powiadomiłem zebranych ze schodków kościoła garnizonowego o ustępstwie gubernatora. Ale z tłumu rozległy się liczne głosy: „mało”. Więc poszliśmy jeszcze drugi raz do generalnego gubernatora, który zgodził się na dodatkowe zwolnienie 20 więźniów politycznych, a prócz tego na:

- 1) zniesienie cenzury (co w dwa dni później cofnął jako rzekome nieporozumienie);
- 2) zniesienie rekwizycji na rogatkach produktów wiezionych do miasta;
- 3) zniesienie przymusowej młocki po wsiach przez oddziały wojskowe;
- 4) zniesienie rekwizycji miodu i masła;
- 5) zezwolenie włościanom na swobodny przemiał zboża;
- 6) oddanie Polskiej Centrali Handlowej całego zapasu surowców, będących w posiadaniu austriackiej centrali surowców.

Ale i to nie zadowoliło zebranych tłumów, więc jeszcze raz poszliśmy na górę z żądaniem zwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Generał-gubernator nie posiadał się z oburzenia, ale ostatecznie oświadczył, że poleci odpowiednim urzędnikom zasiąść natychmiast do pracy nad przejrzaniem wszystkich akt i że zostaną zwolnieni następnego dnia wszyscy więźniowie polityczni oraz aresztowani żołnierze polscy i byli legioniści, przeciwko którym nie ma zarzutów pospolitych przestępstw, tj. kradzieży, rabunku, zabójstw itp., o wyniku zaś badań zostanie delegacja powiadomiona jeszcze dzisiaj o godzinie 16. Tym razem tłum zgodził się rozejść. Sądziłem, że manifestacja się ostatecznie skończyła.

Tymczasem, gdy wszedłem z powrotem na plac Litewski o godzinie 16, zobaczyłem ku memu zdumieniu, że zebrały się tam jeszcze większe tłumy z dwiema orkiestrami, a mianowicie strażacką i kolejową, przygrywającymi na przemian. Najwidoczniej przybyli tu również licznie socjaliści oraz ich zwolennicy.

Na górze w gmachu guberni zauważyliśmy, że Austriacy są niesłychanie wystraszeni i wobec tego postanowiliśmy zażądać, aby więźniowie polityczni w Lublinie zostali zwolnieni nie następnego dnia, jak to

zapowiedział generalny gubernator, lecz zaraz. Austriacy byli tak przestraszeni, że po pewnym czekiwaniu delegacja otrzymała od szefa komisariatu cywilnego, radcy Müllera, kopię listy więźniów, którzy mieli być zwolnieni z Zamku lubelskiego niezwłocznie. Z listą tą delegacja udała się zaraz na Zamek, odprowadzona przez tłumy zebrane na placu Litewskim.

Gdy pierwsi więźniowie ukazali się w bramie, chwycono ich na ręce i podrzucając do góry długo wiwatowano. Ostatecznie utworzył się olbrzymi pochód na czele z orkiestrami, za którymi postępowali więźniowie polityczni, delegaci i reszta manifestantów. Pochód skierował się ulicą Grodzką na Krakowskie Przedmieście. Po drodze jednak więźniowie, którzy mieszkali na pobliskich ulicach, zaczęli wymykać się do swoich domów, a każdemu z nich towarzyszyła część uczestników pochodu. W ten sposób liczba osób biorących udział w pochodzie stopniowo malała i pod Pomnik Unii Lubelskiej na placu Litewskim dotarła już zaledwie połowa początkowo zebranych. Tutaj pod Pomnikiem Unii przemówiło jeszcze dwóch więźniów i pochód rozwiązał się.

Urządzony następnego dnia pochód socjalistyczny, zakończony manifestacją pod Pomnikiem Unii, zdołał zgromadzić kilkaset osób, gdyż napięcie emocjonalne ludności wyładowało się już w dniu poprzednim, a ponadto zabrakło mobilizującego zawsze hasła — zwolnienia więźniów politycznych, których wypuszczono już w wyniku manifestacji, w której drugiej części wzięli nieoficjalny udział również socjaliści.

5 października 1918 r. Niemcy zwróciły się o pokój do prezydenta Wilsona. Odtąd „Głos Lubelski” zaczął się upominać o utworzenie rządu trójzaborowego, opartego na porozumieniu wszystkich stronnictw, rządu szczerze demokratycznego, i nie przestał powtarzać tego żądania aż do czasu utworzenia rządu Paderewskiego.

Wreszcie uważam za właściwe wyjaśnić następującą sprawę. Do Lublina przyjechałem 1 maja 1914 r. jako członek warszawskiej Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie” i do Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego nigdy nie należałem, a nawet byłem wtedy wrogo do niego usposobiony. Do Ligi Narodowej zaś, której skład osobowy nie był ogółowi znany, przywiodła mnie w lutym 1915 r. tożsamość orientacji politycznej, do której doszedłem podczas toczącej się wojny. Z tej racji nie zdołano jeszcze przyczepić do mnie etykiety firmowego endeka. Publicznie zacząłem występować dopiero po utworzeniu w końcu października 1915 r. Zjednoczenia Narodowego, którego byłem jednym z najczynniejszych członków zarządu i w takim charakterze byłem w mieście znany. Sprawilo to, że coraz więcej ludzi ze względu na moją osobę zaczęło uważać „Głos Lubelski” za organ Zjednoczenia Narodowego. Odpowiadało to prawdzie o tyle, że chociaż rzeczywistym właścicielem pi-

sma była Liga Narodowa, to jednakże nie istniał przy „Głosie Lubelskim” żaden komitet redakcyjny i miałem całkowicie wolną rękę przy jego redagowaniu. W ten sposób „Głos Lubelski”, nie będąc własnością Zjednoczenia Narodowego, spełniał do pewnego stopnia rolę jego organu i za taki był przez wielu uważany.

26 stycznia 1919 r. zostałem wybrany w Lublinie na posła do Sejmu Ustawodawczego, a 5 lutego 1919 r. „Głos Lubelski” umieścił po raz ostatni moje nazwisko jako redaktora i kierownika literackiego.